

KOBIETA W MALINOWYM SZLAFROKU

Trzcince

Tylko młodzi przeżywają takie chwile. Nie mówię o bardzo młodych. Nie. Bardzo młodzi właściwie nie przeżywają żadnych chwil. Przywilejem wczesnej młodości jest wyprzedzanie własnych dni w całej pięknej ciągłości nadziei, która nie zna ani przerw, ani samowiedzy.

Zamyka się za sobą furtkę chłopięctwa – i wkracza się do zaczarowanego ogrodu. Nawet jego cienie lśnią obietnicami. Każdy zakręt ścieżki ma swoje powaby. I to nie dlatego, że kraina jest nie odkryta. Wie się dostatecznie dobrze, że cała ludzkość przepłynęła tędy. To urok powszechnego doświadczenia, od którego oczekuje się niezwykle osobistych doznań – czegoś własnego.

Joseph Conrad, *Smuga cienia*

Ostatnio zaczął sobie zadawać pytania. Elementarne pytania. Przylapał się na tym parę razy, lecz wcale go to nie zdziwiło. Bywał już w swoim życiu refleksyjny. Ale jeśli się głęboko zastanović, na takie pytania nigdy nie miał zbyt wiele czasu. Jak większość młodych ludzi. To było doskonałe alibi: nie mieć czasu. Zwykle gdzieś leciał jak opętany, pędził na złamanie karku, szybował jak dziki ptak. Przypominał polującego jastrzębia. Chciał w ten sposób zagłuszyć wewnętrzny niepokój, zamazać niezadowolenie z samego siebie. Z upływem lat żył w coraz większej niepewności.

Kończąc swoje sześćdziesiąt jeden lat, mężczyzna wszedł powoli na strych po stromych schodach z buku, sięgnął dłonią do kieszeni szlafroka po klucz, otworzył drzwi i po chwili siedział już na sosnowym krześle, na miękkiej poduszce. Przed nosem miał takie samo biurko z sosny, na którym stała maszyna do pisania marki Erica. Była wysłużona (słysząc to było już po samym dźwięku), ale jeszcze sprawna. Tylko jeden, jedyny klawisz z literą „m” nieco szwankował. Trzeba było go lekko przytrzymać wskazującym palcem i wówczas działał. Teraz wyjął kilka arkuszy papieru formatu A4, i wciągnąwszy z nawyku brzuch, zaczął pisać.

– Czy jestem szczęśliwy? – zapytał sam siebie. – Dobre pytanie. A co to w ogóle jest szczęście? – Przez kilka sekund wsłuchiwał się w swój zachrypnięty głos, lecz nic nie przychodziło mu do głowy, więc pytanie – przynajmniej na razie – zawisło w próżni. Także potem nie próbował wymyślać jakiejś mądrej odpowiedzi. Doskonale wiedział, że definicja szczęścia nie jest prosta, a na najprostsze z pozoru pytania odpowiedzieć najtrudniej.

– Szczęście?... – mruknął. – Nie masz o tym zielonego pojęcia. Nie osiągniesz go, choćbyś stawał na głowie.

Spojrzał na swą wysłużoną maszynę do pisania i rzekł: – Trzeba by cię dać do remontu, staruszek. Napisałem przy twojej pomocy kilka knotów dla pieniędzy, i dwa, może trzy niezłe kawałki, i jak ci się odpłacam. Tak, trzeba cię wykąpać w spirytusie, naoliwić, wymienić parę sprężyn, jedną, a może dwie uszczelki. A co do litery „m”... Cóż, ta też do wymiany. Zresztą ty sam również.

Mężczyzna podniósł się z krzesła, podszedł do kufra stojącego koło półki z książkami, otworzył go specjalnym kluczem, a następnie wyjął kwadratowy przedmiot umieszczony na samym dnie. Był to oprawiony w imitującą starą księgę zielony album średniej wielkości, z kilkudziesięcioma fotografiami, dokumentujący jego miłość do pewnej kobiety. Jej obraz nosił głęboko w sercu, jak talizman, coś co bywa droższe od życia, czego nie można opisać słowami, namalować pędzlem ani zarejestrować za pomocą aparatu fotograficznego. Miłość bowiem bywa metafizyczna. Czasami jest w niej wiele poezji, mniej konkretów. Więcej jej w rozpuszczonym warkoczu lub pod koronką, w głęboko wyciętej koszuli. Albo w naiwnym uśmiechu.

Usiadł ponownie na krześle. Zamyślony przeglądał fotografie, przyglądał się każdej, wolno przewracał kartę po karcie, w skupieniu, z nabożeństwem, niemal z czułością.

– Więc – szepnął – wystarczyła ta jedna kobieta i cały twój świat przewrócił się do góry nogami. Co w sobie miała? Dlaczego właśnie ona? Ta, a nie inna? Kobieta w malinowym szlafroku.

Siedział wpatrzony w pierwszą fotografię, którą już dość dawno wkleił do albumu, w jego pozaginany grzbiet w górnym rogu, złożony w banalne esy floresy, w jakieś szlaczki i prymitywne ornamenty, naraz westchnął głęboko i przełożył następną kartę.

Miasteczko na fotografii jeszcze spało. Szaro-białe mury, tu i ówdzie zacieki, fioletowy bruk, znak drogowy, zamknięta knajpa. Który to był rok? 1993, czy 94? Pamiętał, że przyjechali dobrze po północy, zadzwonił do drzwi pensjonatu, i w dziesięć minut później leżeli wtuleni w siebie, na pierwszym piętrze z widokiem na zaciągnięty nocnym całunem rynek.

Kobieta, którą wtedy obejmował na pierwszej, a także na następnej fotografii, była wówczas dziewczyną. Miała trzydzieści dwa lata, dzisiaj czterdzieści pięć, ale w gruncie rzeczy nie miało to większego znaczenia. Była kruchej budowy ciała, z piękną, wąską i mocno wciętą talią, o cieniutkich nogach, z fantazyjną ciemną grzywką, która niesfornie opadała na wysokie czoło. Ubrana była w czarną spódniczkę do kolan oraz identyczną górę w długimi, wąsko wszytymi rękawami i zapinaną na podłużne, srebrne agrafki. To dodawało całości wyjątkowego splendoru. Pomyślał teraz, że wyglądała w nich zachwycająco.

Zapamiętał, że wszystkie zdjęcia z miasteczka zrobił pewien człowiek, którego zaczepił na rynku. Zaraz potem zaprosił ją do kawiarenki pod łukami. Była 6 rano. Pili kawę z mlekiem. Namówił ją na twarożek z czosnkiem, który uwielbiał, i parę kromek świeżego chleba, upieczonego tej samej nocy w piekarni Zgoda. To był najsmaczniejszy chleb w Kazimierzu. Pachniał, miał chrupiącą skórkę i nie był przesolony. Jedli śniadanie, obserwując podnoszące się ze snu miasteczko, rozmawiali o podróży z Poznania, trochę się sprzeczali, ale bardziej na wesoło niż na poważnie. Więcej było w tym droczenia się niż złości. Zaspokoiwszy głód, wrócili na dwie godziny do łóżka. Znowu ją

kochał. Czuł, jak w jego ciało wstępuje siła, jak nabiera z każdą chwilą energii, wiary w życie; uzmysłowił sobie, że przez kilkanaście ostatnich lat nie czuł się do końca spełniony.

Koło godziny dziewiątej, jeszcze raz tego samego dnia, otworzyli oczy, i znowu było mu mało miłości, więc pieścił ją na dzień dobry, zamykał raz po raz w ramionach, oplatał nogami, wchodził w nią i rytmicznie drgał, jak chore z pożądania zwierzę. Było w tym uniesienie, pazerność, tkliwość, całkowite oddanie.

Nad miasteczkiem dawno już wzeszło słońce, a oni dopiero wstali, krzątając się niespiesznie po pastelowym pokoju, ubranym w drewniane sprzęty, z malowanym ręcznie glinianym dzbanem, z którego przyglądały się im suszone narwańce polne upstrzone makówkami. Nie spieszo im było do pracy, ale w końcu wyszli na rynek, by sprzedawać najnowszą płytę, którą po prostu zatytułował: „Będę dla ciebie, kim tylko chcesz”. Śpiewał ją Krzysztof Cugowski, jego ulubiony wokalista.

Mężczyzna siedzący na swojej miękkiej poduszce, przed zacinającą się co chwila maszyną do pisania, uważnie wsłuchiwał się w siebie. Widział swą niewyspaną, poprzecinaną licznymi bruzdami twarz, krótko przycięte ciemne włosy z paroma kreskami siwizny, czuł, jak bije mu pod koszulą ciągle naiwne, szalone serce. Gdzieś na parterze, z salonu z kominkiem, od dwudziestu minut frazował na saksofonie tenorowym jeszcze jeden z jego ulubionych muzyków, z pochodzenia Polak – Jan Garbarek. Z jego gry przebijała czysta emocja, z nieustającej improwizacji pobrzmiewała romantyczna dusza, uczucia rozterki i tęsknoty, głębokiego smutku i nostalgii za czymś, co odchodzi bezpowrotnie, a niekiedy nieoczekiwanego wybuchu radości z samej gry, która na chwilę niosła zapowiedź uspokojenia. Pomyślał, i przyszło to nieoczekiwanie, że może właśnie tu, na strychu, w tym dniu i w takiej chwili, jest wreszcie szczęśliwy. Obcując z prawdziwą muzyką, robiąc to, co go pasjonuje, pisząc opowiadania o niemożności osiągnięcia całkowitej harmonii, kreując nieustannie własne życie, które mimo że powoli odchodzi, bywa wzruszające, drogocenne, piękne. Mocował się ze słowami, układając je w zdania, w rytmiczną całość, ciężko przy tym oddychając, czując, że w końcu nauczył się robić coś przyzwoitego, i ciesząc się, że istnieje. Pisanie przypominało trochę

włączanie się pociągów na wielkiej kolejowej mapie. Był jak kierownik-dyrygent. Wypuszczał składy na północ i zachód, na południowy wschód, we wszystkich możliwych kierunkach. Wysyłał sygnały do dróżników, a ci posłusznie włączali czerwone bądź zielone lampy na semaforach. Lokomotywy parowe i długie ceglaste wagony to były najtrudniejsze zdania. Szybkie, błękitne ekspresy, kojarzyły mu się z wartkimi dialogami. Jego głowa – pełna pomysłów i wątpliwości – przypominała przedwojenną centralę telefoniczną. Bez faksów, komputera, za to z jednym jedynym telefonem na korbkę.

Westchnął, znów wciągnął brzuch, wyprostował grzbiet i powrócił do oglądania fotografii w zielonym albumie. – Jak nazywał się tamten hotel? – zamruczał po swojemu. – Jakie nazwy nosiły wszystkie pozostałe, w których budził się przy jej boku? – Moje czternaście lat, i zaraz się poprawił – nasze czternaście lat. Teraz sięgnął pamięcią do lat 90-tych i naraz poczuł, jak na jego twarzy pojawił się ciepły, dobrotliwy uśmiech.

Ich pokój, to była całkiem przeciętna, podłużna klitka na siódmym czy ósmym piętrze, z wąskim oknem, które zasłaniała pomarańczowa stora. W rogu stał na szafce niewielki telewizor. W drugim końcu mieściła się łazienka. Zobaczył go teraz raz jeszcze, a przede wszystkim ją samą, gdy siedzi do niego tyłem, w długim, rozpiętym malinowym szlafroku, przed lustrem ustawionym na etażerce, i krótkimi, lecz zdecydowanymi pociągnięciami szczotki rozczesuje włosy.

Piękna kobieta – pomyślał wtedy, i poczuł, jak jego czterdziestośmioletnie serce rozsadza radość i dziwna lekkość. – Kobieta, hotel, i ty o poranku w obcym mieście. Na fotelu jej ekscentryczna bielizna, czarny stanik, takie same paseczki, których nie zdążyła wciągnąć na biodra, i para kolczyków na szklanym blacie stołu. Czegoż ci więcej potrzeba? Mieszkali w niemal identycznych pokojach hotelowych w Łodzi, w Krakowie, Gdańsku, w Radomiu i Kielcach, w dziesiątkach sennych miasteczek, jak Tuchola, Kazimierz Dolny, Łeba czy Jurata. I za każdym razem, wszędzie, gdziekolwiek to było, obcując z nią odnajdywał w sobie niespodziewaną radość.

– Dzień dobry, kochana – powiedział, przeciągając się. – Nie siedź z nogą na nodze, będzie cię bolał kręgosłup.

Kobieta odwróciła ku niemu twarz, automatycznie zdjęła nogę z nogi, i nie odrywając szczotki od włosów, odrzekła miękkim głosem:

– Och! Już się obudziłeś, a ja sądziłam, że mocno śpisz.

– Spałem jak dziecko, ale pewnie już po ósmej?

– Pół do dziewiątej, ale nie spieszmy się dzisiaj, dobrze? Przecież to niedziela. Poleniuchuj jeszcze trochę, a ja się wykąpię.

– Przyjdź do mnie przed kąpielą. Chcę cię pieprzyć.

Lubił to określenie. Dobrze mu się kojarzyło i jeszcze lepiej wymawiało. Dla niego to określenie było pełne poezji i romantyzmu, może dlatego, że miał przewrotną naturę, w której od zawsze dominowały bunt przeciw schematom i drobnomieszczańskim konwenansom.

– Ja też tego chcę – odparła. – Mam ochotę na seks. Za chwilę.

– Nie za chwilę, tylko natychmiast!

– Dobrze, już kończę.

Droczyła się z nim, jak lubił. Teraz przypomniawszy sobie ich dialogi, które prowadzili przez ostatnie lata, w każdym hotelowym pokoju, podczas targowych dni, przeważnie wieczorami przy stoliku z nocną lampką albo w łóżku. Były to przeważnie krótkie, celne zdania-riposty, które przypominały komunikaty o pogodzie, a ta przeważnie była optymistyczna, albo – odwrotnie – zapowiadająca burzę.

W tamtych czasach była zawsze przy nim. Spędzali razem przynajmniej dwa, trzy, a nawet cztery dni, pracując przez cały dzień z krótką przerwą na obiad, wracali do hotelu, wślizgiwali się do łóżka, a wieczorem pędzili taksówką na premierowy film.

– Do diabła – mruknął nagle, wspominając stare czasy. – Moje życie nie było takie złe. Jeśli byłem kiedykolwiek szczęśliwy, to właśnie wtedy.

Spoglądanie w przeszłość. Wertowanie fotografii. I nagle uświadomienie sobie, że życie mimo wszystko przeciekło między palcami.

Przewrócił następną stronę albumu. Kolejna fotografia pochodziła ze studia radiowego, w którym nagrywał utwór „Już nie ma tamtych plaż”. Głęboka noc. Wiesław Ochman, Adam Skorupka, realizator, żona Ochmana i ich dwoje. A potem realizator daje znak i solista staje przed mikrofonem, by wyśpiewać kolejną linijkę tekstu. Wtedy także była przy nim. Pełna skupienia, powabna, piękna. Również wtedy, gdy Felicjan Andrzejczak nagrywał „Zapach kobiety”.

Podczas sesji Krzysztofa Cugowskiego, który wyśpiewał „Ekstazę” (Nie okłamuj, że to miłość).

Ich związek został wykuty w ciągu zaledwie dwóch lat, które – zanim się spostrzegł – zamieniły się w kolejne dwanaście. Zdążyli się dobrze poznać. Podczas rozmów o codziennych kłopotach, o swoich dzieciach z ciągle jeszcze istniejących małżeństw. Przez kilka lat cierpiał, że nie może z nią zamieszkać. Z biegiem lat pogodził się z tym, gdyż któregoś dnia uzmysłowił sobie, że dzieci są dla niej najważniejsze, a odchodząc od siebie, stracą coś najcenniejszego, co zamyka się w jednym magicznym słowie. Kto o tym pisał? – zastanawiał się teraz. Puszkina czy Dostojewski? Puszkina w „Eugeniuszu Onieginie”. Choć znał w swoim życiu wiele kobiet, ten związek miał dla niego wyjątkowe znaczenie. Miał w sobie walor świeżości, wyjątkową intensywność. Oboje czuli, że są dla siebie stworzeni.

Mężczyzna zamknął album z fotografiami. Poczul, że widzi teraz wszystko dokładniej, przenikliwiej, z dobrej perspektywy, której przed laty mu brakowało. Człowiek – myślał – musi do wszystkiego dojrzeć. Tylko dorośli potrafią żyć uważnie. A pisanie?... Najpierw trzeba coś przeżyć, dopiero potem można sięgnąć do maszyny. Teraz podniósł się, podszedł do kufra i umieścił zielony album na dnie. Zaraz później ponownie usiadł przy swym sosnowym biurku, włączył starą maszynę do pisania. Pisał jeszcze bite dwie godziny, od czasu do czasu poprawiając nieudane zdanie cienkopisem. Przed oczami miał twarze spotkanych ludzi, niekiedy dawnych przyjaciół. Nagle zdał sobie sprawę, że nie miał ich zbyt wielu. Część z nich rozjechała się po świecie. Kobiety jego życia miały dziś 50, 60 lat. Aldona i Basia odeszły na zawsze. Agnieszka – córka malarza, w której się kochał jako czterdziestolatek, chodziła w dziurawych sandałach. Filomena, według słów Doroty, jej przyjaciółki, żyła w Australii w dzikim buszu, w jakiejś lesbijskiej sekcji. Anna od lat mieszkała w Londynie pod innym nazwiskiem i wciąż miała problemy z alkoholem. W jego świadomości dźwięczały strzępy rozmów, czyjś śmiech, narzekania na podły świat i nieczułych ludzi. Przed oczami przepływały sceny, w których podpisywał komuś swoje książki i płyty. A potem przenikał je obraz dziewczyny w malinowym szlafroku – dziś dojrzałej kobiety, która prawie się nie zmieniła, wciąż była mu oddana, wierna, pełna blasku i delikatności. Jej portret stwo-

rzył sobie trochę sam. Przy pomocy swej wyobraźni, z pewnością dzięki wrodzonej wrażliwości, która niejedną raz w życiu mu przeszkadzała. Wszystko, co było z nią związane, powracało teraz z oddali, jak z zaświatów, z mglistych snów, z zaskakujących zdarzeń i nierozwikłanych do końca rozmów. Pograżony w zadumie mężczyzna wciąż pisał jak opętany. Wszystko, co było z nią związane, to było tych kilkanaście lat, a także nieczytelne już adresy hoteli, kontury pokoi, obce dzisiaj dźwięki. Pamiętał za to dobrze zapach jej skóry, kolor oczu i chropowatą fakturę stanika z wyhaftowanym bladoróżowym kwiatem.

Siedział jeszcze długo na strychu i rozpamiętywał swoje życie. Czuł, że mu ucieka, że już niewiele pozostało mu czasu i nie zdąży rozsądzić, czy jest dobrym człowiekiem i czy kiedykolwiek w życiu był szczęśliwy? Siedząc przy swej maszynie, wciąż widział jej otwarte usta, gdy przeżywała ekstazę, jej małe stopy, delikatne, wąskie plecy, cudną talię i niewielkie piersi, ukryte w jego szerokich dłoniach.

2006